

JEROZOLIMA

Miljenko Jergović

Ślusarz Tomo do końca życia nie wybaczy tym, którzy wynaleźli zamek bębenkowy. Choć już dawno przekroczył wiek chrystusowy, założył rodzinę, zbudował dom, otworzył własny zakład i znalazł powszechne uznanie oraz spokój ducha, nigdy nie nauczył się swojego fachu jak należy. Nie, wcale nie z lenistwa czy przez głupotę, po prostu brakło mu talentu do zawodu, który wybrał dla niego stary Ante K., zrozumiawszy, że kowali jest jak psów, więc najlepiej, jeśli przysposobi syna do jakiejś bardziej wyszukanej, precyzyjnej roboty. A w mieście, jakim w owych czasach była Fojnica, gdzie ani zegarmistrza, ani mechanika, najodpowiedniejsze wydało mu się właśnie ślusarstwo.

Tomo terminował u mistrza Ilii Krupaca, człowieka dobrodusznego i wiecznie smutnego, o oczach szklistych, jakby ciągle zażawionych, który szybko zdał sobie sprawę, że z młodego nic nie będzie, a przynajmniej nie w ślusarce. Nie mógł jednak powiedzieć tego ojcu Toma. Kręcił więc tylko głową, przewracał oczami i próbował nauczyć chłopaka choćby kilku najprostszych rzeczy.

Tomo całymi dniami ślęczał nad klamkami i kluczami – niestety, a to otwory okazywały się za szerokie i ząbki nie chciały zaskoczyć, to znów ząbki wychodziły mu za ostre i w try miga niszczyły nawet całkiem nowe zamki. Fojniczanie nie wiedzieli, że żaden z niego majster i sprzęt jego roboty nijak nie uchroni ich przed wytrawnymi włamywaczami, od jakich roіło się nie tylko w Fojnicy, ale w ogóle na całym świecie, ale tolerowali go, szczególnie po śmierci starego mistrza. Był przecież jednym z nich, a ponadto nigdy nie kazał sobie płacić za naprawy uszkodzeń powstałych z jego winy.

Nic się nie zmieniało aż do chwili, kiedy w sarajewskich sklepach pojawił się najnowszy cud techniki, antyzłodziej doskonały – zamek bębenkowy, który każdy mógł zamontować sobie sam.

Na początku kupowali go tylko co zamożniejsi i amatorzy nowinek, z czasem jednak prawie wszyscy fojniczanie powyrzucali stare, rozpadające się zamki, które, jeśli się zgubiło po pijaku klucze, można było otworzyć zakrzywionym gwoździem, i wstawili nowe. Tomo zaś przestawał kłaniać się każdemu, w czy-

ich drzwiach zauważył zmianę. W końcu przestał się odzywać do wszystkich, nie licząc Szymona Pinta, handlarza mydłem i powidłem, żarliwie religijnego Żyda, który, zanim dwadzieścia lat temu osiadł w Fojnicy, zjeździł pół Bośni, pracując i odkładając na własny interes. Szymon ani myślał wymieniać zamek, później dowiemy się dlaczego, a ponieważ nie zaglądał do knajp, mało kogo tak naprawdę znał i mało kto, poza zachodzącymi do sklepu kobietami i dziećmi, zwracał na niego uwagę.

Ślusarz Tomo z dnia na dzień coraz cieplej myślał o jedynym fojniczaninie, który oparł się temu diabelskiemu wynalazkowi – przecież nie da się tego po ludzku ani rozłożyć, ani złożyć – a i kupiec Szymon nie mógł nie zauważyć wyjątkowej serdeczności przekazywanych mu na ulicy pozdrowień i pozostać obojętny na potrzebę kontaktu, jaką wyczuwał u sąsiada. Początkowo czysto konwencjonalne wymiany zdań z czasem się rozwinęły w długie, szczerze rozmowy.

Pewnego dnia siedzieli obok siebie na murku przed pocztą.

– I co, sąsiedzie, jest praca? – zapytał Szymon i zaraz ugryził się w język. Poczł, że niechcący jeszcze bardziej pogrąża nieszczęśnika, niestety jego słowa okazały się szybsze od myśli.

– Byłaby, gdyby świat nie oszalał.

– Tak to już jest. Ja też nie mogę sprzedać wszystkiego, co każdy mądry powinien mieć.

– A żeby ich poskręcało! Jeszcze będą płakać, jak zawsze.

Na te słowa Szymon zerknął nerwowo w stronę Toma. Zawahał się. Może lepiej nie ciągnąć tej rozmowy. Kiedy mówi się o tragediach, nie konkretnie, lecz ogólnie o ludzkim cierpieniu, zawsze, prędzej czy później, schodzi się na Boga, bo przecież wszystko, co zasadnicze i powszechne, pochodzi od Niego. Wtedy już tylko krok dzieli nas od tego, by myślą czy mową zwątpić w Dzieło Stworzenia. A to niedobrze, myślał Szymon Pinto, szczególnie w obecności goja, którego słowa mogą sprowadzić jeszcze większe zło.

– O ludzi bym się nie martwił – Szymon spróbował ująć temat jakoś inaczej. – Najtrudniej poradzić sobie z samym sobą.

– Taa, tylko nie ma nam kto o tym powiedzieć – filozoficznie wtrącił Tomo, zapalając papierosa.

– Ja na przykład, od kiedy pamiętam, pragnę jednego: chciałbym śpiewać.

– No to śpiewaj, za to przynajmniej nie trzeba płacić.

– To nie takie proste, głos mnie nie słucha. U najlepszych śpiewaków potrafię wychwycić najdrobniejszy fałsz, piękną piosenkę rozpoznaję nawet w najgłębszym śnie, a śpiewać jak nie mogłem, tak nie mogę. Co z tego, że mam melodię w uszach, skoro głos nie chce jej nieść?

Tomo poweselał, jakby zrzucił z pleców kamień. Wprawdzie nie do końca pojmował sens rozmowy, jednakże napępiała go ona ciepłem, jakiego dawno nie odczuwał.

– Widzisz, ty się nie nadajesz do śpiewania, a ja do zamków, tyle że ty jesteś kupcem, a ja niby ślusarzem.

– A próbowałeś? – poważnie spytał Szymon.

– Czego?

– Naprawiać te nowe zamki. Słyszałem, że i one się psują.

– Nie muszę, tak jak ty nie musisz śpiewać oper, by wiedzieć, że nawet *Bosa Mara Bośnię przebrodziła*¹ jest ponad twoje siły.

Szymon uśmiechnął się i westchnął, jakby usłyszał wielką, niezaprzeczalną mądrość, o której chciałoby się mówić godzinami, dowodząc, że zawiera w sobie całą prawdę o ludzkim losie. Tak właśnie powstają baśnie, pomyślał, z jednej celnej myśli. A może z tego samego rodzaju się też pieśni?

– *Onde esta la jawe ke estawa in kaszon. Mis nonus la truszerun kon grande dolor. De la kaza de Espania, de Espania* – wymamrotał przez nos z zamkniętymi oczami i zakolysał się, lekko trącając Toma barkiem.

Ślusarz wzdrygnął się. Cóż to za wiatr zaszumił Szymonowi w głowie, pomyślał, co to za słowa padły z jego ust?

– Ej, sąsiad, co robisz? – zapytał speszony.

– Śpiewam, Tomo, śpiewam. Tak to u mnie wygląda. Wydaje ci się, że zwariowałem, ale pomyśl tylko, co ja muszę znieść, skoro ten głos towarzyszy mi przez całe życie.

– A co to za piosenka?

– Ludowa, bracie, bośniacka, ale niezupełnie. Śpiewał mi ją dziadek.

– O czym jest?

– Gdzie jest klucz, który był w skrzyni? Moi dziadowie przywieźli go z ogromnym bólem. *De la kaza de Espania*, przywieźli go z domu w Hiszpanii.

Tomo spuścił oczy i złożył ręce nad kolanami:

– Wiesz co, Szymon, zmień ty ten zamek, nie będę się gniewał. Ty to co innego, nie jak te farbowane lisy.

Szymon popatrzył na niego zdziwiony.

– Nie mogę, ale nie przez wzgląd na ciebie. Po prostu wszędzie, gdzie się przeprowadzam, biorę ze sobą ten sam zamek i ten sam klucz. Moi dziadowie też tak robili. Od trzystu lat otwieramy i zamykamy nim nasze drzwi.

W prawej ręce trzymał duży, zardzewiały klucz, prawie tak długi jak ludzkie przedramię.

– To przez tę piosenkę?

– Szczerze ci powiem, że nie wiem, co było najpierw, klucz czy piosenka. Pamięć o tym wygasła.

– Jak ci ten zamek wysiadzie, nie dam rady go naprawić – wykrztusił Tomo, tłumiąc łzy.

Szymon Pinto skinął potakująco głową, z delikatnym uśmiechem popatrzył na Toma i kontynuował:

¹ **Bosa Mara Bosnu pregazila** – bośniacka piosenka ludowa [przypisy pochodzą od tłumacza].

- Kiedyś otworzę nim bramę w Jerozolimie. Przynajmniej mam taką nadzieję. Tak jak wierzę, że w Jerozolimie uwolnię swój głos i zaśpiewam jak trzeba.
- A którą piosenkę? Tę o domu w Hiszpanii czy jakąś nową o domu w Fojnicy?
- Ani jedną, ani drugą. Pierwsza za bardzo mi ciąży, a o drugiej nie chcę nawet myśleć. Po dziurki w nosie mam i Bośni, i Fojnicy.
- E, a czego ci tu brakuje?
- W zasadzie niczego, tyle że gryzie mnie robak. To śmieszne, ale nie potrafię się go pozbyć. Ciągłe mi się wydaje, że nie mogę śpiewać, bo Bośnia utknęła mi w gardle. W końcu tylko tutaj, wśród gór i niedźwiedzi, znajdziesz Żyda bez głosu. Pomyślisz, że postradałem zmysły, ale nie miej do mnie żalu. To nie dotyczy ciebie ani innych ludzi, tylko mojej idée fixe.
- Rozczaruję cię, ale w Jerozolimie na pewno też mieszka ktoś, kto nie umie śpiewać, a i klucz, który trzymasz w ręce, najprawdopodobniej nie pasuje do żadnych tamtejszych drzwi. – W oczach Toma łzy smutku zmieszały się ze łzami oburzenia.
- Być może, ja jednak muszę w to wierzyć. Gdyby nie Jerozolima, oszalałbym.
- O, tak, ja też ledwie wytrzymuję.
- Żebyś jednak, Tomo, nie złościł się na mnie, powiem ci jedną rzecz. Te zamki bębnekowe na bank wymyślił jakiś Żyd. W ogóle nowinki to zazwyczaj nasza sprawa. Gniewaj się więc na niego, tak jak ja gniewam się na Bośnię. I spokojna Bośnia! – tym powiedzonkiem zakończył Szymon i zaśmiał się. Zaskoczony Tomo na moment zmarszczył brwi, po czym wybuchł niepojętym rechotem.

Tej jesieni Szymon się rozchorował. Boże, mam nadzieję, że to nie od tego siedzenia na zimnym kamieniu, martwił się ślusarz, patrząc na okna sąsiada i rozważając, czy nie zapukać i nie spytać Racheli o zdrowie przyjaciela. Ale nie zapukał i więcej się nie widzieli. Szymon zmarł w dniu świętej Katarzyny, akurat miał spać pierwszy śnieg. Jerozolimy nigdy nie zobaczył, tak jak Tomo nie wziął do ręki zamka bębnekowego. Rachela z dziećmi przeniosła się do Sarajewa, a do ich domu wprowadził się niejaki Rade Czizmasz.

Tomo całymi dniami kręcił się po okolicy, czekając, aż nowy właściciel zachce zmienić zamek. Kiedy nareszcie dostrzegł, że Rade grzebie przy kłamce, podszedł do niego i zaproponował, że odkupi od niego stary zamek i klucz. Ten smagnął go ponurym spojrzeniem, ale przystał na cenę dwóch dinarów. Dobrze na tym wyszedłem, pomyślał Tomo w drodze do domu. Za takie pieniądze nie zamówiłbym nawet piosenki w knajpie. Uśmiechnął się i zaśpiewał, cicho, dla duszy.

NAJPIĘKNIEJSZY MÓJ JOHANNESBURG

Miljenko Jergović

Już od trzech lat Adem sprzedaje w RPA polisy na życie. Jeśli spojrzeć na mapę, widać, że ubezpiecza ludzi o rzut beretem od Przylądka Dobrej Nadziei. Można by więc pomyśleć, że kiepsko mu idzie, no bo jak ubezpieczać coś, co wcześniej ubezpieczyła już nadzieja. Nic bardziej mylnego – interes ma się świetnie, Adem nabrał wprawy i już niemal uwierzył, że Bóg stworzył go właśnie po to, by z uśmiechem na ustach i dobrymi intencjami w sercu przestrzegać ludzi przed zagrożeniami, które czyhają na ich życie, niezbitcie dowodząc, że wykup polisy jest konieczny. Nietatwa to jednak praca. Trzeba jednocześnie straszyć i dawać nadzieję, przy czym nadziei zawsze powinno być więcej, choć nie za dużo, żeby nie zgasić w ludziach niepokoju. Z drugiej strony, jeśli zapukamy do kogoś i stanimy przed nim, emanując mrokiem i niewiarą w przyszłość, wzbudzimy tylko jego gniew i zostaniemy przepędzeni na cztery wiatry. Nic dziwnego, po co bowiem komuś polisa, skoro i tak nic nie ma sensu i – jak sam akwizytor twierdzi – wszystko źle się skończy. Dlatego też w pracy, i w ogóle, w życiu, należy szukać równowagi między światłem a ciemnością, nadzieją a rozpaczą, pociechą a groźbą, obojętnością a zaangażowaniem, aby w końcu samemu sobie stać się miarą, kimś, komu zło zawsze wychodzi na dobre, i to z nadwyżką. Komu się to uda, zostanie ubezpieczycielem idealnym, takim, któremu, poza pogrążonymi w rozpacz i pławiącymi się w szczęściu, nikt nie odmówi. Ademowi się udało, znalazł tę równowagę i dlatego praca w Johannesburgu idzie mu dobrze.

Hava zarzuciła studiowanie literatury i dzisiaj pracuje w Sarajewie jako fryzjerka. Uważa, że włosy mówią wszystko i że można po nich rozpoznać ludzki charakter. Nikomu jednak z tym się nie zdradza, bo straciłaby klientki, które w końcu nie po to do niej przychodzą, żeby dowiedzieć się prawdy o sobie, lecz dlatego, że chcą wydać się sobie piękniejsze, niż są i mogą być w rzeczywistości. Żeby ten cel osiągnąć, najpierw trzeba uspić ich podejrzliwość. Robi się to tak: kobieta siada na krześle i jeśli ma ładne włosy, Hava wyraża podziw: „och, jakie cudowne!”, co dla kobiety oczywiście nie jest niczym nowym, ale skoro fryzjerka to potwierdza, na pewno porządnie wykona swoją robotę i w razie czego nie będzie miała na co zrzucić winy. Jeśli zaś pojawia się klientka z martwymi włosami, które trzymają się na słowo honoru i dla których nie ma już ra-

tunku, o czym sama dobrze wie, więc tym większa jest jej nadzieja, wówczas Hava przesuwa palcami po jej głowie, spogląda w jej odbite w lustrze oczy, robi poważną minę i mówi: „zaraz się za to weźmiemy”. Zawsze się udaje. A fryzura i tak wychodzi, jaka wychodzi, bo niezależnie od tego, czy włosy są ładne, czy brzydkie, głowa foremna czy niekształtna, z ludzką powierzchownością niewiele da się zrobić i tylko nieliczne panie wiedzą, że wygląd to to, co mówią ich oczy i wyraz twarzy. W każdym razie klientki zawsze wychodzą od Havy zadowolone, dzięki czemu jej usługi cieszą się w mieście dużym powodzeniem. Ją natomiast interesuje przede wszystkim to, z jakimi włosami ma do czynienia i – co jeszcze ważniejsze – co sądzi o nich właścicielka. Potem próbuje powiedzieć to samo, lecz tak, żeby kobieta odniosła wrażenie, że dowiaduje się czegoś nowego, i żeby jej dobre przeczucia zmieniły się w radosną pewność.

Na wykładach Adem i Hava siedzieli w jednej ławce. Trwało to całe dwa lata. „Jesteśmy przyjaciółmi, co nie?”, powiedziała kiedyś, a on uśmiechnął się i potwierdził. Hava kryła się za kokieteryjną nieśmiałością, a on za szarmanckim optymizmem, i tak oto, maskując się wzajemnie przed sobą, pozostawali dla siebie kimś, kim nie chcieli być. Dlatego też nie mogli spać po nocach i kłócili się w myślach, Adem z Hava, a Hava z Ademem, zarzucając jedno drugiemu, że zamyka się w murach obronnych ze strachu przed pierwszym dotknięciem, dzięki któremu, jak to zwykle bywa, sympatia może się przerodzić w miłość. Ale nic z tego, przesiedzieli obok siebie dwa lata, razem uczyli się w ratuszu¹, razem chodzili do kina i streszczali sobie książki, starając się wplatać w swoje narracje jakieś aluzje, których rozpoznanie mogłoby skierować ich życie na właściwe tory. Kiedy na przykład Adem streszczał jej *Hamleta*, w centrum opowieści umieścił Ofelię i zacytował zdanie: „Idź waćpanna do klasztoru; na co ci mnożyć grzeszników?”², mające wyrażać urazę do kobiety, która nie odpowiedziała na miłość, aby więc nie przypaść w udziale innemu mężczyźnie, powinna wstąpić do klasztoru. Hava i Adem śmiali się, traktując to wszystko jako żart, a ich rozbawienie trwało zbyt długo, by potem mogła znów zastąpić je powaga. Kiedy opowiadał Adem, dłużej śmiała się Hava. Z kolei kiedy opowiadała Hava, powiedzmy, *Annę Kareninę* – „Nie zabiłaby się, gdyby Wroński powiedział, dobrze, Anno, a teraz mnie posłuchaj, na tym świecie poza sobą nie mamy nic” – wtedy dłużej śmiał się Adem.

W chwili wybuchu wojny wciąż tkwili na początku swojej historii, z tym że nie było już ani wykładów, ani kina, a na dodatek mieszkali na dwóch końcach miasta i nie mogli się widywać, bo w czasach niepokoju od Dobrinji do Jarčedolów jest tak daleko jak z Pekinu do Bihaća. Chociaż i tę odległość byłoby w stanie pokonać, gdyby wiedzieli, jakich słów i jakich magicznych gestów użyć,

¹ W latach 1949–1992 sarajewski ratusz pełnił funkcję biblioteki.

² Ten i następny fragment *Hamleta* w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego.

żeby runęły mury wzajemnej ostrożności. Dopóki działały telefony, dzwoniли do siebie co wieczór i dalej opowiadali rozmaite historie naszpikowane pułapkami na miłość. Gdyby nie pożar poczty, prawdopodobnie w końcu zafałszowaliby całą literaturę światową, nie zbliżając się do siebie ani na piędź.

Po sześciu miesiącach milczenia i rozłąki, kiedy już zupełnie nie wiedzieli, na czym stoją, Adem, z konwojem Żydów opuścił Sarajewo. Na tę okoliczność przemianował się na Adama, co w zasadzie wychodziło na jedno, bo jako Adem nie czuł się inaczej niż jako Adam, tak jak będąc Adamem, nie przestawał być Ademem. „Tak to jest, kiedy rodzice dobrze trafią z imieniem”, powiedział pewnemu Bobowi, Surinamczykowi, z którym leciał z Amsterdamu do Johannesburga, z czego ów Bob oczywiście niczego nie rozumiał, chociaż bardzo mu się spodobało, że rodzice mogą trafić z imieniem, tak jakby ludzkie serce było tarczą, a właściwy wybór – strzałem w dziesiątkę.

Wprawdzie do tej historii niczego to nie wniesie, ale gwoli prawdy musimy odnotować, że przez pierwszych sześć miesięcy Adem nie pomyślał o Havie ani razu. A ona martwiła się, czy przypadkiem nie zginął, aż pewnego dnia spotkała na ulicy Indirę, koleżankę z uniwersytetu, która wspomniała, że Adem wyjechał z miasta. Ta wiadomość ani nie zabolęła Havy, ani jej nie uradowała. Dziewczyna odebrała ją w sposób, którego nie da się przypisać żadnemu konkretnemu uczuciu: radości, smutkowi, nienawiści czy miłości. Jedynie aż do głębi duszy poczuła, że Adem odszedł. Myślała o nim całą noc, długo nie mogła zasnąć i chciało jej się płakać, bardziej nad swoim niż nad jego losem – w końcu jemu granaty już nie groziły – ale potem zapadła w sen i kiedy rano się obudziła, wspomnienia odeszły.

Tak oto runęły mury broniące dostępu do ich serc. Zapomniawszy o sobie, przeżyli ten okres życia i dojrzewania, którego wcześniej zabrakło, aby mogli być razem. Pewnego dnia Adem poznał Dolores, córkę hiszpańskich komunistów. Jej rodzice dawno temu przyjechali do Republiki Południowej Afryki gnani marzeniem, że czarni będą żyć wśród czarnych. Z czasem jednak na powrót stali się białymi i porzucili komunizm. Została im tylko córka o imieniu Dolores, które Ademu pięknie zagrało w uszach, więc zakochał się w tej, która je nosiła. Powiedział: „Wyobraź sobie, że ja jestem Wrońskim, a ty Anną Kareniną. Teraz muszę cię kochać, żebyś nie rzuciła się pod pociąg”. Dolores nigdy nie czytała Tolstoja i nie rozumiała, w czym rzecz, ale słowa Adema bardzo jej się spodobały, szczególnie zaś wzruszyła ją wizja samobójstwa, przed którym ratuje ją ten oto młodzieniec, tak więc ona też od razu się w nim zakochała. Dopiero wtedy, w chwili, gdy za pośrednictwem Anny i Wrońskiego wyznawał miłość, przypomniała mu się Hava. Nagle wypełniła jego serce i nie mógł już przestać o niej myśleć. Od tej pory Dolores coraz bardziej zatracala się w miłości, a on się oddalał. Jakkolwiek próbował dać jej do zrozumienia, że jej nie kocha, że tamto wyznanie było pierwsze i ostatnie, ona nie mogła, a może też nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Mimo to,

pewnie tak było wygodniej, zgodził się, żeby razem mieszkali, dzielili łóżko i lodówkę i żeby Dolores, w nadziei, że w ten sposób splecie i nierozzerwalnie zwiąże ich losy, wymieszała wszystkie ich rzeczy, od bielizny i długopisów po szczoteczki do zębów. Jednak pewnego dnia znalazła na stole list od Adema, w którym pisał, że odchodzi i już nie wróci, i żeby nie czekała na niego z obiadem, ani dzisiaj, ani nigdy. W ten sposób została sama z balastem rzeczy i wspomnień martwej miłości, i gdyby choć trochę rozumiała, co się stało, prawdopodobnie polałaby benzyną i podpaliła całe to mieszkanie urządzone według swojego wyobrażenia wieczności, która oto właśnie przedwcześnie się skończyła.

Hava nie zakochiwała się. W pewnym momencie poczuła tylko, że czas się zabawić. Przecież jeśli na chwilę ktoś wyda jej się bliski, zawsze może uciec. W pierwszych dniach po wojnie, sprząając pokój, przeglądała teczki z notatkami z uniwersytetu. Z jednej wypadła pocztówka z Zagrzebia. Pamiętała, kiedy ją dostała – latem między pierwszym a drugim rokiem studiów. Przeczytała: „Ja bym mógł być zamknięty w łupinie orzecha i jeszcze bym się sądził panem niezmiernie przestępstwa, gdybym tylko złych snów nie miał i gdybym Ciebie nie śnił. Zgadnij, co nie jest tu z Shakespeare’a, a dostaniesz piątkę. Adem”. Miała przed sobą otwarte wyznanie miłości. Była wstrząśnięta, bo w ogóle nie pamiętała, jak wówczas zrozumiała te słowa i co dla niej znaczyły. Z trudem docierało do niej, że mogła je potraktować jako żart. Brzmi to nieprawdopodobnie i pewnie nie robi dobrze tej opowieści, ale skoro tak było, nie da się tego pominąć: od tej chwili Hava myślała o Ademie dzień i noc.

Oferując ubezpieczenia i szukając w sobie równowagi między nadzieją a rozpaczą, Adem zmagał się w myślach z Hava, a właściwie nie zmagał się, tylko uwodził ją, zdobywał i obcałowywał. Za każdym razem, kiedy udało mu się sprzedać ubezpieczenie, wyobrażał sobie, że na dłoni ma jej serce i mocno, aż do bólu, zaciskał na nim pięść, by poczuć, jak bije. Nie uważał jednak, że ta zabawa może coś zmienić, że stanie się coś, co handel polisami zmieni w wydajne źródło utrzymania i dowiedzie, że przeszłość wcale nie została bezpowrotnie utracona, że można do niej wrócić i odzyskać wszystko, co zapomniane, ale bliskie sercu.

Igrając z włosami i kobiecą próżnością oraz próbując odnaleźć równowagę między prawdą a iluzją, Hava marzyła o tym, by przywołać Adema, zwabić go w objęcia i już nigdy nie wypuścić. Albo inaczej: złapać mocno za włosy, żeby się nie wyrwał i był przy niej tak jak te kobiety, a właściwie jedna kobieta, która przychodziła do niej codziennie, za każdym razem zmieniając fryzurę i psychologię. Hava jednak nigdy nie dała jej się nabrać i zawsze potrafiła ją przekonać, że najlepiej jest tak, jak jest. Nie oczekiwała powrotu Adema, ale cokolwiek robiła, towarzyszył jej w myślach. Gdyby więc się pojawił, gdyby dokonał się cud na miarę tych, które, jak opowiadają stare kobiety, zdarzały się w dawnych czasach – zatem dlaczego nie mogłyby zdarzać się też dzisiaj – Hava nie byłaby zaskoczona. +

Nie wiadomo, kiedy Adem poczuł, że sprzedał już dość ubezpieczeń, by móc wykupić własny los. Pewne jest natomiast, że pierwszego września wysłał z Johannesburga do Sarajewa pocztówkę, na której napisał:

„Jeśli Bóg stworzył Cię z mojego żebra, a wszystko wskazuje na to, że tak, nie jesteś moją siostrą, bo gdybyś nią była, po nas nie byłoby już żadnych ludzi. Dlatego uważam za konieczne wyznać Ci, że Cię Kocham, i czynię to, aby zbawić świat”. Kartka szła piętnaście dni, a siódmego Adem wsiadł do samolotu lecącego do Amsterdamu. Tym razem nie miał za sąsiada Surinamczyka Boba, ale to nie ma już żadnego znaczenia. Adem nie poznał swojego współpasażera. Akurat z głową opartą na piersi mocował się z pasem bezpieczeństwa, kiedy samolot, wolno kołując na start, wjechał w pusty autobus transportowy. Wszyscy odczuli tylko wstrząs, on zaś uderzył potylicą o oparcie siedzenia przed sobą i skrzył kark. Lokalne stacje radiowe doniosły o osobliwej katastrofie lotniczej, w której zginął agent ubezpieczeń na życie, i to wszystko. Troskliwe władze znalazły w Johannesburgu muzułmański cmentarz, koledzy z pracy ogłosili mowy, czarnoskóry hodźa odmówił dżanazę³ i zanim pocztówka dotarła do Sarajewa, na południu Afryki, o rzut beretem od Przylądka Dobrej Nadziei, o Ademie nikt już nie pamiętał.

Dzisiaj jest piętnasty września. Hava, rumiana ze szczęścia, siedzi w kuchni za stołem. Przed sobą ma kartkę z Johannesburga i życie, które w przyptywie nadziei i planów na przyszłość rozpięta jej serce. Wiadomość o losie Adema nigdy do niej nie dotrze, bo tak jak on, ona też nie ma nikogo bliskiego – śmierć w obcym świecie to dla obojga upadek w czarną studnię, zniknięcie bez śladu. W tym momencie wydaje się jednak, że tak jest lepiej. Hava nie podejrzewa, że ta opowieść musi się urwać. No bo jakże mogłaby się tak nagle skończyć, skoro doszła aż tutaj, do tej pocztówki? Burza uczuć nie da jej spokoju jeszcze przez wiele miesięcy. Najpierw, cierpiąc na bezsenność, będzie nasłuchiwać kroków na podwórzu, potem ogarnie ją chwilowy gniew, że Adem tak się ociąga, ale niebawem pomyśli, że jeśli potrafiła na niego czekać latami, poczeka jeszcze trochę. Upływać będzie czas, którego się nie mierzy, bo nie wiadomo, jak go mierzyć, w miesiącach czy w latach, a Hava, mimo że zapomni, kogo się spodziewa i kogo kocha, trwać będzie w miłości i oczekiwaniu. Wie bowiem, że jest żebrzem Adema, po które on – niezależnie od tego, jak długo to potrwa – na pewno kiedyś przyjdzie.

A skoro nie umiał zapiąć pasa i musiało wydarzyć się to, co się wydarzyło, lepiej, że Hava zostanie sama ze swoją nadzieją. Pocztówkę wetknie za krawędź lustra w salonie fryzjerskim i będzie pilnie uważać, żeby nikt po nią nie sięgał. A jeżeli ktoś spyta, co to za miasto, odpowie: „Najpiękniejszy mój Johannesburg”.

Tłumaczenie z języka chorwackiego: Miłosz Waligórski

³ Muzułmańska modlitwa za zmarłych.

TAJEMNICA PODWÓRKOWYCH SKRZATÓW

Miljenko Jergović

Stare kobiety mówiły, że podwórkowe skrzaty zniknęły tego lata, kiedy baron Filipović¹ po wielodniowej bitwie wkroczył ze swoim wojskiem do miasta. Zapanał zamęt i popłoch, ludzie salwowali się ucieczką, z byle powodu – wystarczyło krzywo spojrzeć – można było zginać. W czarszii² okradziono wszystkie sklepy, wyważono bramy, wtargnięto na podwórka. Dlatego na początku nikt nie zauważył, że Adon już nie drzemie w koronie ałyczy, Dion nie siedzi w dziupli w topoli Muhasiloviča, Afron nie zagłada pod szarawary Esmi Rasimovej, a Haron nie krzyczy w rynnach... Do jesieni bramy zostały naprawione, życie wróciło w dawne koleiny, oczywiście zgodnie z nowymi zwyczajami i zasadami, które na kopytach koni i ostrzach szabli wprowadzili kawalerzyści Filipovicia. Podwórka opustoszały. Nawet w najśnieźniejsze letnie dni, kiedy soczyste lubaszki rozbryzgują się o bruk, ludzi ogarniała nieznośna nuda. Nie było nikogo, kto by człowieka zabawił czy wyrwał ze snu, nikogo, kto napędziłby strachu dzieciom, a młódki zmusił do pisku i śmiechu. W tamtych latach podwórka zaczęły podupadać. Straciły rację bytu, nikomu nie udzielały już schronienia, nikt się w nich nie chował, zabrakło też kobiet tak pięknych, by warto je kryć przed oczami tłumu. Zniknęły skrzaty, które każdej rodzinie nadawały wyjątkowości, o czym przekonywali się goście, kiedy Haron z rynny spluwał im za kołnierz, a Afron plątał krok.

¹ Baron Josip Filipović (1819–1889) – chorwacki arystokrata, generał. W 1878 roku jako dowódca wojsk austro-węgierskich zajął Bośnię i Hercegowinę, 19 sierpnia – Sarajewo.

² Čaršija – dzielnica handlowa, serce miast rozwijających się pod panowaniem imperium osmańskiego.

Hadzi Muhsin Šljivo, mędrzec pamiętający czasy Omera-paszy Latasa³, mówił, że skrzaty przybyły razem z Levimi, Musafiami, Kamhimi, Fincimi, Abinunami, Ovadiami, Papami, Abrahamami i Montigliami po tym, jak tych wypędzono z Hiszpanii. Nie bardzo jednak rozumiał, dlaczego zamiast zostać na Bjelavach, wprowadziły się na podwórka muzułmanów. Byli tacy, którzy widzieli w nich jedynie zdradzieckie zło i mieszały z błotem każdego, kto choćby żartem opowiedział, jaki to dziś rano wycięły mu numer. Co ciekawe, krytykowali je głównie przybysze, ludzie bez podwórek, bram i bez własnych skrzatów.

W jednej szczególnie pamiętnej wzmiance skrzaty (a konkretnie: Barana, który mieszka pod okapem) przywołuje również Mula Mustafa Bašeskija⁴. Była późna jesień, Mustafa wyszedł akurat przed dom, by zaczerpnąć powietrza, kiedy na głowę skoczył mu i na łysinie zatańczył rzeczony Baran. Zanim Mustafa zorientował się w sytuacji i oprzytomniał, skrzata już nie było. „Nareszcie miasto mnie przyjęło!”, wykrzykuje na końcu notatki, po czym dodaje, że każdy liczący się w czarszii człowiek, nieważne, bej czy biedak, ma swojego podwórkowego skrzata. W innych miastach ich nie uświadczysz, twierdzi, albo ludzie po prostu o nich milczą. U nas natomiast nic nie zostaje bez komentarza, dlatego też skrzaty znane są prawie tak samo jak ich właściciele (choć tak naprawdę nie wiadomo, kto jest komu panem – skrzat Mustafie czy Mustafa skrzatowi).

W pierwszym numerze żydowskiego kuriera wydanym na krótko przed zajęciem miasta przez barona Filipovicia, Elezar D. Finci, aptekarz i kronikarz życia ludu, pisze, że wśród starych kobiet z Bjelav istniał zwyczaj, żeby po narodzinach dziecka na progu domu położyć srebrną łyżkę, a na niej perłę. Według wierzeń była to danina składana skrzatom za nową duszę, która wprowadza się do miasta. One zaś w zamian miały nadal jak najlepiej rozweselać osmańską elitę, służyć bejom śmiechem i dowcipem i zdzierać z ich oczu zasłonę mroku, żeby przypadkiem nie przyszło im do głowy wzorem hiszpańskiego króla wypędzić Żydów z miasta. Skrzaty brały perły, a srebro zostawiały. Jeśli więc łyżka zniknęła, wiadomo było, że dań padła łupem jakiegoś rabusia z czarszii i trzeba na progu położyć nową. Elezar D. Finci zaznacza, że chociaż wszystko to tylko stare przesady, licha lepiej nie kusić, przynajmniej do chwili, aż ktoś udowodni, że skrzaty nie istnieją.

Na artykuł Finciego zareagował w „Prawosławnej Zorzy” bławatnik Arhandel Besarović. Jego zdaniem, nie ma cienia wątpliwości, że skrzaty zamieszkują bejowskie podwórka. Nie przywędrowały jednak z Hiszpanii, lecz o wiele

³ Omer-pasza Latas (1806–1871) – turecki pasza pochodzenia serbskiego, pacyfikator buntu bośniackich agów i bejów w 1850 roku.

⁴ Mula Mustafa Bašeskija – XVIII-wieczny kronikarz bośniacki.

wcześniej – w czasach, kiedy miasta nie było jeszcze na mapie. Najpierw pozajmowały stare dęby i tam, gdzie Bistrički Potok wpada do Miljacki, założyły swoją osadę, a potem, kiedy nie miały już innego wyjścia, wprowadziły się na podwórka. Dzisiaj strzegą zakopanego złota bejów i czekają, aż ktoś w mieście albo w jego okolicy założy ogrody. Besarović apeluje do wiernych prawosławnych, by podjęli się tego właśnie oni.

Niedługo potem na łamach almanachu „Katolik” Finciemu i Besaroviciovi odpowiedział łacinnik i obieżyświat Stjepan Hudy. Jego komentarz był zwięzły: „Wbrew temu, co można usłyszeć w czarszii i co twierdzą Panowie Finci i Besarović, skrzaty NIE ISTNIEJĄ! I fertig!”.

Dyskusja rozeszła się echem także wśród lokalnych kupców, a na początku lata, kiedy w powietrzu nad miastem czuć było już zimny oddech barona Filipovicia, jeszcze się ożywiła. W opinii handlarzy argumenty polemistów nie były warte nawet złamanego grosza. Finci został skreślony za tchórzostwo. „Portki mu się trzęsą, jak ma do sławjki pójść, to sobie na odwagę skrzaty zmyślił”. Besaroviciovi oberwało się za jałowe grzebanie w przeszłości. „Głowi się i głowi nad tym, co było najpierw: kura czy jajo, a potem nagle stwierdza, że kogut”. Hudyego wyśmiano za podróże. „Lata po świecie w tę i we w tę, jakby miał w tyłku robaki. Nic dziwnego więc, że skrzatów nie widzi, skoro nawet na ludzi nie zwraca uwagi”.

I kto wie, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie przyszedł Filipović i nie przerwał polemiki wojną. Po kilku latach jednak ludzie znów mogli zająć się sprawami obyczajowymi, a wiedeński student Ahmed Siréo postanowił o zniknięciu skrzatów napisać dysertację.

Zaczął od bejów i ich podwórek. Wszędzie witano go serdecznie, lecz za każdym razem słyszał to samo smutne westchnienie, że nic z tego nie będzie. „Nie ma go, nie ma, choćbyś mnie zabił. Zginął, zapadł się pod ziemię, nie wiem. A bez niego jest tak pusto! Kiedy przechodzę przez podwórko, zamykam oczy i marzę, żeby drzwi z mojego pokoju wychodziły bezpośrednio na ulicę. Gdybym mógł, oddałbym wszystkie pałace Stambułu, byle tylko wrócił” – narzekał Fehim Abdurahman Proho, który w pamięci miasta zapisał się jako najporządniejszy kadi.

Mimo to Ahmed nie stracił zapału i udał się do Finciego. Ten jednak nie chciał go przyjąć. Wychylił się tylko zza drzwi i oznajmił, że zbliża się wielkie nieszczęście, skrzaty osobiście przepędził Franciszek Józef i najwyższa pora, by Żydzi zwinęli manatki i wyjechali, bo potem może być za późno. „Nadciąga wielkie zło, Salomonowe ucho zniknie z tego miasta, a kto wie, może nie tylko z tego. Musimy uciekać jak najdalej, i to bez oglądania się za siebie”.

Arhandel Besarović zaprosił Ahmeda Sirćę do swoich komnat i serdecznie go ugościł. Ze śmiechem przedstawił nową teorię: „Czy nie widzi pan, młody człowieku, dokąd to wszystko zmierza? Czy naprawdę pan się nie domyśla, gdzie przepadły skrzaty, czy raczej kto i jak je «przepadł»? Przyszedł obcy i rozkopał nam miasto, rozkopał naszą ziemię, rozkopał naszą ziemię pod ziemią, rozkopał naszą ziemię pod ziemią naszej ziemi! Wygnał skrzaty, które były tu, zanim pojawiło się cokolwiek innego. Ale ja wiem, dokąd one poszły. Pisała o tym angielska prasa. Są w Szkocji. Zadomowily się tam na dobre i już nigdy do nas nie wróca. Biada nam, że nie potrafiliśmy ich zatrzymać”.

Stjepan Hudy podjął Ahmeda w swoim biurze dyrektora I Gimnazjum. „Mój drogi, nareszcie, przynajmniej częściowo, odzyskaliśmy rozsądek. Czy pan nie widzi, jak bardzo nauka posunęła się do przodu? Darwin wyjaśnił pochodzenie gatunków, Amerykanie wynaleźli światło tysiąc razy jaśniejsze od tego, jakim pali się świeca czy nafta, i sto razy jaśniejsze od światła gazu, lada dzień zostaną rozwiązane wszystkie tajemnice świata, a pan mi tu mówi o jakichś skrzatach. Nie, młody człowieku, one nie zniknęły, ich po prostu nigdy nie było. Ludzie zrozumieli to w momencie, kiedy dotarła do nas cywilizacja”.

Po tym wszystkim Ahmed Sirćo zupełnie się pogubił. Nie wiedział, co robić: pojechać do Szkocji, dla dobra nauki napisać dysertację wymierzoną przeciw skrzatom, zaszyć się na jednym z podwórek i opłakiwać dawne czasy czy może na poważnie zająć się teorią miejskiego aptekarza Elezara D. Finciego, który ze strachu przestał wychodzić z domu? W końcu jednak Ahmed postanowił o wszystkim zapomnieć, zmienić temat pracy i wziąć na warsztat zagadki ornamentacji bośniackich kilimów.

Następne lata, których żaden (poza skrzatami?) z aktorów tego przedstawienia nie zapamiętał, tylko do pewnego stopnia rozjaśniły dotychczasowe teorie. Najpierw potwierdziły się przewidywania Elezara D. Finciego. Pewnego poranka przyszli po niego, i po większość miejscowych Żydów, ludzie w mundurach. Jedni byli tutejsi – znał ich, drudzy obcy. Finci został zamordowany na Vracach i nikt z całą pewnością nie potrafi stwierdzić, o czym myślał w ostatnich chwilach swojego życia, choć wielce prawdopodobne, że właśnie o skrzatach.

Jesienią 1969 roku w londyńskiej gazecie „Time to Time” opublikowano sensacyjną rozmowę ze szkockim skrzatem, który przekonywał, że jako ofiara zbrodni przeciwko ludzkości musiał uciekać najpierw z Hiszpanii, a potem z Bośni. Wywiad obśmiały wszystkie brytyjskie dzienniki (czyżby na zlecenie służb specjalnych?), a „Time to Time” został objęty zakazem druku, gdyż rozmowę z „rzekomym” skrzatem – jak podała prasa – uznano za próbę zakwestionowania faktu lądowania człowieka na Księżycu.

Postęp nauki i techniki skazał wszystkie teorie o skrzatach na zapomnienie. Zainteresowali się nimi jednak pisarze, a szczególnie skłonni do konfabulacji bajkopisarze. „Co to za literat, który nie wierzy, że to, co napisał, wydarzyło się naprawdę”, oburzał się Alija Dervić, sarajewski krawiec znany z tego, że przez cały czas poza ubraniami dla ludzi szył również ubrania dla skrzatów. Na wypadek, gdyby jednak wróciły. „Bo bajki piszą ludzie, którzy nie wierzą w to, co widzą, i dlatego nie widzą tego, co powinni widzieć”, odpowiedział nauczycielce swojej córki Amry, kiedy na zebraniu rodziców zapytała go, dlaczego broni dziecku czytania lektur. Alija Dervić miał potem przez to nieprzyjemności, sprawą zainteresowała się policja, a w gazecie ukazał się tekst o „krawcu fanatyku religijnym”, chociaż to już całkiem osobna historia.

Dzieje ludzkości przypominają rozplątywanie wełny, którą splątał czarny kot. Historycy nie robią nic innego, tylko próbują cofnąć świat do stadium, kiedy wszystko było proste. O tym, jak dalece im się to udaje, najlepiej świadczy fakt, że co rusz według starego schematu toczy się nowa wojna. Jedno kotłowisko zastępuje drugie. Dlaczego? Dlatego że uczeni nie wiedzą, co z taką rozplątaną wełną mogliby począć. Komu zrobić z niej sweter? Kogo i przed jakim mrozem chronić? Może więc najpierw powinniśmy powiedzieć prawdę o tym, co składało się na nasze życie, życie naszych ojców i naszych miast, a co wciąż nie zostało opisane. Może wtedy skrzaty wrócą do domu i historia powoli zacznie się wyjaśniać.

Tłumaczenie z języka chorwackiego: Miłosz Waligórski